

Wywiad z Bartkiem Chacińskim

Red. Bartek Chaciński (tygodnik „Polityka”; blog „Polifonia. Płyty Bartka Chacińskiego”)
Rozmawia Marek Jeziński

Wywiad przeprowadzono 2 września 2021 (forma: Zoom); opublikowano 27 sierpnia 2023.

Marek Jeziński: Panie Redaktorze, chciałem namówić Pana na rozmowę o komiksach serii „Tytus, Romek i A’Tomek”, jako że doskonale zdają sobie sprawę z tego, że jest Pan tropicielem popkulturowych śladów: muzycznych, literackich, komiksowych. Stąd „Tytus”, a więc komiksowa popkultura – głównie okresu PRL.

Chciałbym zacząć od tego, jak widzi Pan tę właśnie kwestię, czyli „Tytus” jako fenomen kultury popularnej. Oczywiście głównie PRL-owski, ten okres ukształtował nasze wyobrażenie o tej serii, ale też i „Tytus” reaktywowany po 1989 roku, kiedy Papcio zaczął być komentatorem polskiej rzeczywistości – politycznej, społecznej, ekonomicznej. Przy czym myślę, że Chmielewski po przełomie politycznym był już komentatorem z innymi ambicjami i czynił to niejako wprost, w odróżnieniu od okresu realnego socjalizmu. Ta zmiana była istotna: to, co było kiedyś ukryte między wierszami w wypowiedziach postaci, a czasami po prostu nie istniało w „Tytusach” do 1987 roku, kiedy wyszedł ostatni album (o ucłowieczaniu przez sztukę plastyczną i malarstwo) przed przełomem 1989, po nim zaczęło pojawiać się dosłownie, bez cenzury – kiedy książeczki były wydawane już w zupełnie innej sytuacji społecznej.

Bartek Chaciński: To były przynajmniej dwa oblicza „Tytusa” albo nawet więcej było tych obliczy. Właściwie dla mnie „Tytus” zaczął się chronologicznie od tego momentu, kiedy zacząłem go śledzić w „Świecie Młodych” na bieżąco, jakoś od początku lat 80. Ale to dla „Tytusa” był już półmetek. Dla mnie „Świat Młodych” w okolicach stanu wojennego był czasem, w którym mogłem poznawać komiks, bo to były moje pierwsze kontakty z komiksem w ogóle jako dziedziną sztuki i kultury popularnej, ale wiadomo, że w dzieciństwie się tych poziomów nie rozgranicza. Więc właściwie poznałem takiego „Tytusa”, który nie był już „Tytusem” zindoktrynowanym przez cenzurę, przez pewne obligi

edukacyjne ery PRL. Do tej pory najbardziej cenię właśnie ten okres, czyli „Tytusa” z lat 80., uwolnionego od dramatycznych obowiązków ideologicznych, który po prostu poznaje ciekawe aspekty życia. I nigdy nie waham się powiedzieć, że księga o Tytusie dziennikarzu jest księgą, która zmieniła moje życie.

MJ: No właśnie o nią chciałem szczególnie zapytać! Toż to przepis na dziennikarską pracę – szkoła pisania artykułów, reportaży, patrzenia na rzeczywistość dziennikarskim okiem i samego wydawania gazety w drukarni. To szkoła oczywiście humorystyczna, ale jednak Chmielewski dawał czytelnikowi naukę profesji silnie osadzoną w ówczesnych realiach praktyk dziennikarstwa prasowego.

BCh: Tak. I powiem też, że wielu moich kolegów dziennikarzy mówi to samo. Wielu moich kolegów pracujących w mediach potwierdza, że cała ta (we wcześniejszych księgach też) umiejętność połączenia atrakcyjnej fabuły z edukacją w latach 80. procentowała tym, że Papcio Chmiel potrafił niesłychanie atrakcyjnie opowiedzieć o jakiejś dziedzinie życia. I w tym wypadku to właśnie było dziennikarstwo we wszystkich wymiarach, łącznie z najbardziej kuriozalnymi aspektami. Do tej pory przecież ta księga jest przywoływana, ilekroć mowa o *fake newsach*, kaczkach dziennikarskich, chochlikach drukarskich. To jest książka pod tym względem niesłychana, ale też nie zapominajmy, że wypływająca z głębokiego doświadczenia Papcia Chmiela, który przepracował do tego momentu chyba trzydzieści kilka lat w prasie młodzieżowej. Dla mnie to jest okres środkowy „Tytusa”.

Okres pierwszy to czas, kiedy się komiks polski kształtuje i w ogóle, i jako sztuka. To było tak, że dla komiksu system PRL-owski musiał otworzyć drzwi, bo wiadomo, że była to gałąź sztuki kojarząca się z USA, czyli gorsza i zdecydowanie imperialistyczna, w związku z tym mogła wejść na rynek tylko wtedy, kiedy została opakowana w pewien rodzaj działalności edukacyjnej. I ta działalność edukacyjna w „Tytusie” była ważna, a kariera Papcia Chmiela jest pod tym względem modelowa. Pracował w piśmie, które miało korzenie jeszcze przedwojenne. Również jeszcze przedwojenne korzenie komiksowe, w „Świecie Przygód”, który wychodził chyba jeszcze przed wojną – jakieś komiksy się pojawiały. Pamiętajmy, że komiks w Polsce przed wojną żył i był normalną dziedziną gazetową, która występowała we wszystkich możliwych barwach – politycznych, społecznych, dziecięcych itd. itd. Odkrywamy go na nowo na przełomie l. 40. i 50. Właściwie, jeśli chodzi o Papcia, to już po 1956 roku, kiedy dostaje *carte blanche* na rysowanie komiksów o małpce, ale pod pewnymi warunkami. Miały tam być wątki nawiązujące do krajów RWPG i przede wszystkim do harcerstwa, które było bezpieczną sferą tematyczną. Zdaje się, że ten pierwszy komiks o małpce w kosmosie wypływał z fascynacji misją „Sputnika”.

MJ: Tak, właśnie! W pierwszej, jeszcze gazetowej, wersji komiksu Romek i A'Tomek polecili w kosmos i przypadkiem natknęli się na małpę – doświadczalnego szympansa. Okazało się, że to jest właśnie Tytus. Później w 1966, kiedy opublikowano pierwszą księgę w formie autonomicznego albumu, dowiedzieliśmy się, że Tytus powstał zupełnie inaczej, zwłaszcza, że od III wydania pierwszej książeczki Papcio zamieszczał zmieniony początek, rysując akt stworzenia Tytusa z rozlanego tuszu.

BCh: Tak, rzeczywiście – wtedy bohater powstaje od nowa. Ale jak sobie przypomnimy innych bohaterów komiksowych, to oni też powstawali kilkakrotnie. Analogiczną sytuację miał Janusz Christa publikując w końcu „Kajka i Kokosza”, którzy wyewoluowali z komiksu „Kajtek i Koko”, więc to też był falstart. Ja mam wrażenie, że po odwilży po 1956 roku, jednak do redakcji pism PRL-owskich zaczęło trafiać trochę komiksów z obszaru francuskojęzycznego. Jestem przekonany, że – wbrew wszelkim zaprzeczeniom Christy – widział on „Asterixa” w jakiejś embrionalnej formie i dlatego zmienił otoczenie swoim bohaterom. I jestem też przekonany, że przed I księgą Papcio Chmiel widział już sporo ciekawych francuskich komiksów prasowych i forma „Tytusa” nie wzięła się znikąd. A Papcio Chmiel, i Christa również, jeśli chodzi o albumowe komiksy, od samego początku, od pierwszego komiksu operuje pewnym językiem autorskim. Myślę, że w ogóle jednym z najbardziej autorskich języków w polskim komiksie.

MJ: Tak, zgodzę się – Papcio Chmiel to jeden taki przykład, ale też jeszcze warto wskazać Tadeusza Baranowskiego. To są postaci, które jak gdyby podniosły polski komiks na inny poziom, zarówno graficznie, jak i sposobem mówienia. Mówimy przecież czasem „Tytusem”, mówimy „Bąbelkiem i Kudłaczkiem”...

BCh: Tak! Mówimy Baranowskim też! Bąbelkiem i Orient-Manem. Trochę czuję, że zdryfowałem już od samego pytania, bo to było pytanie o to, jak kultura popularna wyglądała w PRL, jak się wpisywał w to „Tytus”, ale w zasadzie ciągle o tym mówimy. To był okres naprawdę twardej edukacji.

Konkurencją dla „Tytusów”, dla komiksów o „Kajku i Kokoszu” wkrótce staną się komiksy opowiadające o trudach pracy polskich policjantów, łapiących złodziei i opryszków. Pojawiła się też najtrudniejsza dziś do przyjęcia formuła, czyli komiksy serii „Podziemny front”. Ale jak wspominam odbiór swój dziecięcy komiksów „Podziemny front”, to pamiętam, że to były komiksy jak każde inne. Myślę, że PRL-owscy decydenci zrozumieli bardzo szybko, że amerykańska formuła komiksowa, choć francuska również, jest po prostu znakomitym wehikułem do promocji – nawet jeśli subtelnej – treści ideologicznych. W „Podziemnym froncie” to nie było subtelne, a w innych komiksach – mniej lub bardziej. I to się spodobało, to działało. To mogę potwierdzić, jako

dziecko wychowane w PRL-u, na pewno nie w kulcie wodzowskim i nie w kulcie partii PZPR, bo tak nie było w rodzinie, ale wychowany w tym okresie i przyswajający te treści w sposób bardzo naturalny i początkowo ich nie kwestionujący.

Mf: A „Relax”? Z racji wieku Pan mógł nie zostać czytelnikiem tej serii, choć na pewno Pan ją zna. Wspominam „Relax”, bowiem, gdy mówimy o różnorodnych (nie)subtelnościach propagandy, warto przywołać także i ten magazyn.

BCh: Nie, nie – wiekowo załapałem się na „Relax” również! To wszystko przychodziło naraz. Końcówka „Relaxu” na początku lat 80.

Mf: W „Relaxie” można było znaleźć wiele ideologicznych wątków, jak choćby: „Polak melduje z kosmosu”, „Polacy na biegunie południowym”, „W piaskach Synaju”, czy mój ulubiony przykład ideologizacji, czyli historyjka „Ogień na sawannie” o wojnie domowej w Angoli. Generalnie było takich tropów dużo, z klasycznym przykładem komiksu o Richardzie Sorgem „Wywiadowca XX wieku” (opublikowany później w osobnej książeczce). W związku z tym komiksy takie, jak „Podziemny front” czy „Kloss” („Stawka większa, niż życie”), o którym można byłoby też wspomnieć, wpisywały się w tak nakreślone ideologiczne ramy. Ale gdy patrzę na „Tytusy” – wracając do głównego wątku naszego spotkania – to takiego politycznego propagandowego rysu tam tak na dobrą sprawę za dużo nie ma. Pojawiają się „słuszne” wątki, ale nie wydaje mi się, by można było mówić o propagandowym komiksie w ścisłym sensie, może poza II księgą, gdzie milicja czuwa nad ruchem drogowym. Nie są to jednak wątki promowane w nachalny sposób.

BCh: Pamiętając przy tym, że Papcio Chmiel, chyba ideowo nigdy nie był bezwolnym wykonawcą poleceń – tak mi się przynajmniej wydaje. Wiemy, że bardzo się wstydził potem tych pierwszych „Tytusów”. Wiemy, że na początku lat 90. pierwsze „Tytusy” nie były wznawiane, a potem były poprawiane. W tym nie było przypadku.

Mf: Właśnie! Niektóre przecież były narysowane w całości od nowa, jakby od początku. I to kreską już typową dla Papcia z lat 90., a to była już zupełnie inna estetyka... Przyznam, że dla mnie trudna do przyjęcia: obca, jakby mniej „tytusowa”, choć oczywiście nacechowana niepowtarzalnym autorskim stylem.

BCh: Tak jest! Tak, tak... I muszę też powiedzieć, że jako początkujący dziennikarz na początku lat 90., kiedy miałem okazję porozmawiać raz jedyny, przeprowadzając taką dużą rozmowę z Papciem Chmielem, to spotkałem się – to się czuło – z człowiekiem, do którego nie tyle ja przychodzę z pytaniami, co on mi chce coś powiedzieć. Bo ja wtedy byłem 23-letnim dziennikarzem i oczywiście fanem „Tytusa” od wielu lat, więc spotykałem się niejako ze swoim

mistrzem. Chociaż nigdy nie byłem częścią tego całego kultu „Tytusa”. Bo warto powiedzieć, że jak chyba żaden inny – i tu wydaje mi się, że nie było precedensu na polskim rynku – był to komiks otoczony kultem spotkań z fanami i całym rytuałem, który w ten sposób budował, trochę jakbyśmy byli Ameryką, a nie wesołym barakiem obozu socjalistycznego. Rytuał przewidywał nawet zdobywanie tytułu „narzeczony Tytusa” – moja żona miała okazję zostać narzeczoną Tytusa, a ja, nie-stety, oczywiście nie mogłem z prozaicznych i fizycznych powodów (choć nie uczestniczyłem wtedy w spotkaniach z Papciem Chmielem). Ale mam świadomość, że takie zjawisko było i dla mnie jest jednym z nielicznych przykładów funkcjonowania para-fandomu w ówczesnej Polsce. Fandomu racjonowanego i kontrolowanego odgórnie.

MJ: Ale to poniekąd wynikało ze specyfiki uprawianej działalności i samej stylistyki, bo pisarze, aktorzy serialowi spotykali się z ludnością w PRL – bohaterowie „Czterdziestolatka”, czy aktorzy z serii „Czterej Pancerni i pies”. Tak samo i Papcio, który odniósł niewiarygodny sukces rynkowy, był więc do takiego kontaktu z fanami niejako predystynowany.

BCh: Tak, tylko że on miał inny status – oczywiście przy wszystkich proporcjach. Zawsze zbiera się autografy aktorów, bohaterów popularnych historii z ekranu. Literaci są już trochę mniej interesujący, to jest zresztą trochę trudniejszy kontakt. A autorzy komiksowi są bardzo często zupełnie anonimowymi postaciami, nierozpoznawalnymi na ulicy. Bardzo często wręcz nieznanymi zupełnie z twarzy. I Papcio Chmiel był na tym tle wyjątkiem, bardzo mocno funkcjonującym wyjątkiem – od zawsze. Dlatego, że od zawsze przełamywał nie tylko czwartą ścianę, ale tworzył taki meta-poziom w narracji „Tytusów” i on sam był też bohaterem książeczek. Był ów poziom meta, na którym pojawiał się Papcio Chmiel, kiedy czynił siebie samego jednym z bohaterów komiksu i myślę, że zawsze bardzo potrzebował samemu tej sławy. Był osobą, co warto też podkreślać, która niebywale dbała o własny wizerunek zewnętrzny i o to, jak się go prezentuje, a właściwie – jak on siebie prezentuje sam. Pod wieloma względami był to rzeczywiście kompletny twór popkulturowy. Nie tylko komiks, nie tylko estetyka komiksowa, nie tylko estetyka kreski komiksowej, ale też język, pewien świat wymyślony w obrębie estetyki komiksowej, który był precyzyjnie od samego początku przez Papcia Chmiela poukładany. Z własnym choćby rodzajem wtrętów onomatopiecznych różnego typu, które nie istniały nigdzie indziej, a które on tworzył od podstaw. No i właśnie też z własnym istnieniem poza komiksem. Z własnym pomysłem na kontakt z ówczesną widownią, publicznością. Wydaje mi się, że w naszym regionie było to po prostu unikalne zjawisko. Nie znam może dobrze historii komiksu wschodnioeuropejskiego, ale wydaje mi się, że Chmielewski stworzył coś, co wychodziło poza ramy tego, czym komiks mógł być w demoludach.

I tu dochodzę do tego trzeciego etapu. Dla mnie trzeci etap popkulturowego pomysłu na „Tytusa” zaczyna się już po 1989 roku, być może krótko przed. To moment, kiedy Papcio Chmiel już wie, że może zrobić wszystko i może opisać nową rzeczywistość. I tylko na to czekał, z pakietem tematycznym, który dotyczy właśnie transformacyjnej Polski i który – moim zdaniem – się nie udaje z różnych powodów. Może po prostu z najprostszego – wchodzi w konkurencję ze wszystkimi innymi formami sztuki, które wychodzą spod parasola cenzury i mogą opowiadać o rzeczywistości, która nas otacza. Wtedy się pojawiają tematy, jak „Tytus” jako ochroniarz, „Tytus” zmagający się z problemami rynku, gangi, narkotyki... I ewidentnie jest to coś, na co w swojej wizji Papcio Chmiel był gotowy, jako chyba wielki fan Ameryki. I tak jak „Tytus” nie był wyrobem komiksopodobnym w dwóch pierwszych odsłonach, w tej głęboko PRL-owskiej i tej z lat 80., tak w latach 90. miałem momentami wrażenie, że to jest trochę wyrób komiksopodobny. Dlatego, że Papcio Chmiel goni za tematami, które już dawno zostały opowiedziane lepiej, że niepotrzebnie próbuje odkrywać Amerykę...

MJ: No tak, ja miałem takie wrażenie, że formuła „Tytusa” – nośna przez dwie dekady – wówczas się wyczerpała. I to z jednej strony. Drugie, to wątek, o którym Pan mówi: po przełomie pojawiło się mnóstwo różnych nowych produktów, dostępnych dla odbiorców od razu, od ręki. Co oznaczało sytuację, w której – w odróżnieniu od PRL – to czytelnik i widz zaczęli dyktować warunki gry na rynku. A po trzecie, Papcio wówczas stawał się coraz starszym człowiekiem. To zupełnie inna sytuacja niż w latach 60. i 70., czyli wtedy, gdy miał mnóstwo energii i ciekawych pomysłów. We wczesnym okresie książki „Tytusów” ukazywały się praktycznie co roku, a potem następowały coraz dłuższe przerwy. I gdy popatrzymy na daty wydania dwóch „Tytusów” z okresu przełomu, czyli plastyczny XVIII z 1987 roku i teatralny XIX z 1992 roku, to widać, że było to pięć lat odstępu. Nie o chronologię tu jednak wyłącznie chodzi, bo przede wszystkim widać, że księga XIX estetyką już różni się od wcześniejszych albumów z lat 80.: mamy tam inną kreskę, inny rysunek znanych nam postaci.

Może właśnie było tak, jak Pan mówi – Papcio czekał, by rozpoznać nowe zasady gry, ale okazało się, że nie do końca umiał się odnaleźć w rywalizacji z dużo młodszymi autorami, z nową generacją twórców. Poza tym wydaje mi się też, że jednak fabularnie i konceptualnie te nowsze „Tytusy” są zwyczajnie słabsze od tych z pierwszego okresu. Zresztą warto zauważyć, że z tych późniejszych ksiąg do obiegu językowego nie trafiły żadne powiedzonka i cytaty...

BCh: No tak... To jest trochę tak, że – jeśli będziemy się trzymać perspektywy chronologicznej, która jest mi po dziennikarsku bliska – skoro po 1956 roku możliwy był komiks w Polsce, to kolejna cezura przypada na okres po 1989, gdy możliwy był wolny komiks. Ale może być też tak, że wyczerpała się pewna for-

muła, taka napędzająca komizm i struktury narracyjne, którymi operował Papcio Chmiel. No bo one przecież są – i nawet kiedyś miałem okazję o tym pisać – bardzo podobne. Bardzo często Tytus jest rebeliantem, bardzo często Tytus jest sprawcą czegoś, w najmniejszym wydaniu to jest jakaś heca, która się wydarzy, a w największym tworzenie jakiejś grupy pre-ekologicznej, walczącej o świeże powietrze...

MJ: Tak, przewodził grupie rewolucyjnej obalającej rząd, na wyspach nonsensu – wyprawa pierwsza.

BCh: I potem w książeczce o sztuce Tytus był z kolei wrogiem publicznym, bo był zwolennikiem naturalizmu w świecie abstrakcji. Przenosił się też w przeszłość i drukował odezwy przeciwko państwu. Zawsze był jakiś zamęt, właściwie to się jakoś wpisywało w ideę rewolucji i walki klas itd. (choć w to już nawet nie wnikam), ale można powiedzieć, że ten schemat Papcio Chmiel wyeksploatował do cna. Być może Papcio Chmiel chciał „nadrobić” te stare pierwsze odcinki, rysując Tytusa w odwróconym schemacie. Tak jak wcześniej „Tytus” przeciwstawiał się NATO, tak teraz musiał wystąpić w mundurze i być członkiem NATO razem z polskim wojskiem. To wszystko siłą rzeczy musi wyczerpać formułę, a przy okazji może też to, jak Pan mówi, na pewno nawet, w pewnym momencie dowcip się trochę tępi, inne jest spojrzenie na rzeczywistość, nie ma dystansu komicznego, który był wcześniej. Zresztą być może też i właśnie to, a jest to przecież przypadek bardzo wielu polskich twórców, że nie było cenzury, że nie było się z kim zmagać, że nie było ograniczenia, spowodowało, że nagle wszystko stawało się bardziej zwyczajne, mniej zabawne.

No i na koniec mamy jeszcze epizod z opowieściami o historii Polski, gdzie Tytus jest właściwie uczestnikiem miękkiej bardzo polityki historycznej, miękkiej – bo Papcio nigdy twardo nie wszedł w ideologię.

MJ: Ale ja mam wrażenie, że w tych ostatnich albumach o formule opowieści historycznych to właśnie Papcio staje się wyłącznym narratorem, zajmującym bezpieczne pozycje, a Tytus – jedynie maskotką, która ma uatrakcyjnić historię. Zwłaszcza, że rebelia – zawsze będąca typowo Tytusową formą ekspresji – gdzieś została stępiona, istnieje niejako na pokaz albo się nie pojawia w ogóle.

BCh: Tak, to prawda. I wydaje mi się, że jest jeszcze jedna rzecz w tym wszystkim. Mianowicie, choć Tytus był dość swobodną fantazją, to przez wiele lat był fantazją napędzaną przez różnego typu osiągnięcia techniki. Mnie fascynowała ta otoczka technologiczna. To, w jaki sposób Papcio Chmiel prezentuje maszyny, w jaki sposób wymyśla nowe pojazdy, które były wolną fantazją, ale jednak niejako towarzyszyły pewnej myśli modernizacyjnej i myśli o rozwoju technologicznym ludzkości jako takiej.

Mf: Właśnie! „Tytus” jest bardzo pozytywistyczny w tym kontekście, to jest niesamowite! Może to konsekwencja uwarunkowań historycznych i dewastacji kraju, trudno mi to oceniać. Ale właśnie owa projekcja programu pozytywistyczno-oświeceniowego: zmiana ma być postępowaniem i my mamy się temu postępowi podporządkować, bo kierunek jest słuszny...

BCh: Tak! Tak! Można zmieniać świat, można ulepszyć człowieka, można zmienić małpę w człowieka.

Mf: Tak, tu mamy taką wiarę w boskość i sprawczość człowieka, który przypadkiem stworzył pośredni między człowiekiem a zwierzęciem typ bytu, jakim jest Tytus, który jeszcze nie jest człowiekiem. Często Tytus podkreśla, że już prawie-prawie osiągnął upragniony status, albowiem brakuje mu do ucłowieczenia kilka dziesiątych *homosapiensa*, by zostać w pełni istotą ludzką, a my – czytelnicy – mamy niezachwianą wiarę, że to się w końcu uda. Widać tu też ewolucjonistyczne założenie, że człowiek to istota wyższa, niż zwierzę, nawet tak inteligentne jak szympan. Papcio podawał to w sposób niekwestionowalny i od samego początku pokazywał to, jako oczywisty dogmat napędzający historię. Warto się zmienić i ucłowieczyć, bo forma wyższa, bardziej złożona zastępuje niższą, prostszą. Choć z drugiej strony, często mamy przecież w książeczkach scenki, w których sam Tytus wygłasza refleksyjne myśli o tym, że zwierzęta są bardziej interesujące niż ludzie, żyje im się łatwiej i lepiej. Widać tu pewną niekonsekwencję autora, który pokazuje, że jednak sprawa nie jest do końca tak prosta, jak mogłoby się wydawać, a naukowo-techniczne opanowanie świata nie zawsze wystarcza i nie zawsze daje gotowe odpowiedzi.

BCh: I w tle mamy cały czas profesora Talenta, który prowadzi różnego typu eksperymenty. One są w zupełnym tle bardzo często – w trzecim, czasem czwartym planie, są myszki, coś się dzieje i to jest wszystko bardzo przecież konsekwentnie prowadzone od programu „Sputnik” i podróży małpki w kosmos.

Ale też krajobraz po '89 roku w książeczkach „Tytusa” to krajobraz świata, w którym Papcio pokazał, że w Polsce na pewno zdecydowanie bardziej jesteśmy zainteresowani konsumpcją, niż tworzeniem jakiejś wizji przyszłości – bardziej urządzaniem się w życiu doczesnym, niż snuciem jakichś fantazyjnych planów na przyszłość. *Science fiction* się u nas świetnie rozwijała w momencie, kiedy nie można było kupić samochodu. Teraz zresztą wracamy do postaci Stanisława Lema; jego osoba świetnie pokazuje te wszystkie absurdy, tę głęboką rozbieżność pomiędzy uwolnioną fantazją świetnie przygotowanego, świetnie wyedukowanego człowieka a niemożnością wynikającą z braku materiałów itd. – tego, że się samochód psuje i nie ma go gdzie naprawić. Ale myśl ludzka szybuje. Może to było zapłodnione propagandą radziecką, która bardzo

sprytnie hasłowo operowała: pokazując, że możemy wszystko zrobić. Odwracając często naszą uwagę od tego, że nie mamy czasem co do garnka włożyć, albo że to, co wkładamy, jest raczej marnej jakości.

MJ: Ale „Tytus” też na tym bazuje – chłopcy w wyobraźni przeżywają nieprawdopodobne przygody, lecą wannolotem, zgłaszają zawodnika na olimpiadę – i on we wszystkich konkurencjach ma zdobyć beczkę medali złotych i srebrnych. To wszystko jest oparte na niezwykłych i surrealistycznych pomysłach.

BCh: To prawda, to prawda, Papciowi się udało coś niebywałego. Mianowicie z tego momentami dość przykrego funkcjonowania instytucji – bo bardzo często harcerstwo było sprowadzane do takiej pre-służby systemowi i opakowaniu dzieci w mundurki – on potrafił wykreować taką fantastyczną rzeczywistość, tak jak najwięksi mistrzowie polskiej literatury dla dzieci i młodzieży, jak na przykład Niziurski. Właśnie w obrębie tej mizერი, tej niemocy i ograniczonych możliwości, które miały dzieciaki, nawet będąc w harcersztwie. I wszystko to sobie trzeba było wyobrazić. Więc ta siła wyobraźni – była niebywała.

Ale też jeśli wrócimy do samego warsztatu komiksowego, to jest on też bardzo, bardzo mocny, jak sama kreska Papcia Chmiela. Ta kreska jest mocna, twarda, kanciasta. Tam bardzo mało jest obłości w „Tytusie”, on jest kanciasty, rysowany niezwykle pewnie. Choć nie wiem, czy tak rzeczywiście było, bo nie śledziłem, prawdę mówiąc, szkiców „Tytusa” – a każdy twórca komiksowy ma swoją formułę dochodzenia do tego, co ostatecznie znajdzie się na planszach. Ale ta czarna kreska, ten kontur u Papcia Chmiela jest czymś niebywale mocnym, plakatowym. W tym sensie, że wpisuje się pewnie w bardzo dobre tendencje polskiej sztuki, designu, polskiego plakatu.

MJ: Tak, polskiego plakatu, ale też i plakatu radzieckiego – jeszcze przedwojennego.

BCh: Tak, radzieckiego też. Plus i ta kwestia, że ten komiks jest różny od innych także dlatego, że plansze budowano w poziomie, nie w pionie. Że przestrzeń między kadrami jest wypełniania czernią, jest także kreską. Jest ileś zabiegów, które powodują, że gdy zobaczymy fragment kadru z „Tytusa”, a nie zobaczymy samego Tytusa, nawet nie zobaczymy innych postaci z „Tytusa”, to wiemy, że to jest „Tytus”, że jesteśmy w tym świecie. I dodatkowo, ale to dotyczy wszystkich polskich twórców komiksowych z tego okresu, jest ta umiejętność operowania słabym kolorem. Czyli tworzenie z pełną świadomością tego, że to, co robimy, zostanie źle wydrukowane, więc te kolory będą się rozmywać, będą jakieś mętne, będą być może inne – na to się trzeba było godzić, że będą inne, niż te narysowane. I tu jest podobieństwo z Baranowskim: OK, my wykreujemy tak absurdalnie fantastyczną rzeczywistość, że właściwie, jak nam podmienią

zielony z czerwonym, to wszystko będzie dalej grało. To w tych dwóch komiksach, w tych dwóch światach się sprawdza. Działa genialnie. I w wypadku Papcia Chmiela taka niedosłowność pewna obowiązuje i ja, prawdę mówiąc, w ogóle nie miałem problemu, czy komiks o „Tytusie” dostawałem w wersji czarno-białej, z odcieniami szarości, czy kolorowej.

Mf: Chociaż wydań w formie tylko czarno-białej nie było – wydawano pierwsze książeczki ze stronami na zmianę: kolorowe i czarno-białe. Specyficzna praktyka wydawnicza, mam takie wydania do X księgi włącznie. I rzeczywiście przy tych wydaniach ze stronicami drukowanymi co drugą na zmianę w kolorze – jako czytelnik także nie odczuwałem dyskomfortu z powodów estetycznych. „Tytus” sam w sobie oferował niezwykle przygody, więc także i grafika sama się „kolorowała” w dziecięcej wyobraźni odbiorców. Tytus żył swoim życiem i nie miało znaczenia, jak ma się jego kolorystyka.

BCh: „Tytus” był kolorowy z założenia, prawda?

Mf: Tak! Barwny jako postać, co odbieraliśmy całościowo.

BCh: Nie było potrzeby kolorowania, tak jak się kolorowało inne rysunki. Na przykład wprowadzałem kolor do czarno-białych „Kajków i Kokoszów”, bo uważałem, że tego koloru tam brakuje. Tak w wypadku „Tytusa” nigdy nie odczuwałem presji, żeby samemu kolorować kadry. Chociaż pamiętam, że komiksiarze prowadzili różne gry i zabawy, myślę, że inspirowane francuską prasą komiksową, czyli „Pilote” lub innymi gazetami – tam były różne gry i zabawy z postaciami komiksowymi. To Christa naśladował, wprowadzając łatwą szkółkę rysowania postaci w kratownicy.

Mf: Tak, tak, też pamiętam te samouczki rysowania Kajka i Kokosza, zamieszczone na końcu wydań albumowych „Szkoła latania”, czy „Wielki turniej”.

BCh: U Papcia Chmiela były takie gesty polegające wrysowaniu swojego portretu gdzieś.

Mf: To było hasło „Tu wklej swoją fotografię”: w kowbojskim „Tytusie” oraz w pierwszym albumie, w którym można było wkleić się na drzewie genealogicznym Tytusa – jako członek jego wielkiej rodziny. Ale Papcio w pierwszych książeczkach jako dodatki zamieszczał czasem obrazki z Tytusem do pokolorowania (w ks. III) albo grę planszową (w ks. II), plan lekcji (w ks. IX), czy zestaw ćwiczeń gimnastycznych Tytusa (w ks. VI). Potem te pokolorowane rysunki można było przykleić na lodówkę, na drzwi albo na matę słomianą – jako obrazek, żeby udekorować swój pokój. Jednak takie strony do samodzielnego pokolorowania publikowane były rzadko, tylko w kilku komiksach, Papcio w taką formę aktywizacji czytelnika nie poszedł, ale rzeczywiście ten wątek

z zabawą we własnoręczne dorysowywanie czegoś na obrazkach jest tu widoczny. Tak jak Pan mówi, „Tytusowi” to nie szkodziło, co jest też dość ciekawe, a większość przygód z klasycznego okresu jest opartych na nieprawdopodobnych surrealistycznych założeniach fabularnych. Podobnie jak u Baranowskiego, gdzie ten wymyślony świat w całości jest surrealistyczny. U „Tytusa” mamy realizm w postaci funkcjonowania zastępu harcerskiego, ale przygody dzieją się w ich wyobraźni i często mają charakter surrealistyczny, jak choćby to, że wanną możemy polecieć do ćwierćkoła świata albo podróżować mechanicznym koniem.

BCh: Tak, plus groteska. Bo to wychodziło znakomicie i to w ogóle w PRL-u wychodziło znakomicie wszystkim rysownikom. Czyli przedstawienie świata wykrzywionego do granic możliwości. Widać to w wyprawie na Wyspy Nonsensu – to jest kwintesencja tego zabiegu. Ja pamiętam, że te groteskowe tomy to były najbardziej uwielbiane albumy przez moich kolegów. One się wtedy cieszyły największym szacunkiem, choć nie wiem, jaka jest teraz hierarchia i czy to podejście się zmieniło. Ale Wyspy Nonsensu to było wówczas coś najbardziej szanowanego. Może dlatego, że tam można było snuć jakieś analogie do systemu, można było znaleźć jakieś ukryte aluzje.

MJ: Rzeczywiście ten świat jest dosyć mocno powykrzywiany i trudno się dziwić, że ludzie z naszego pokolenia to od razu rozumieli i bardzo się tym fascynowali. W związku z tym chciałbym zapytać: co nam zostało z „Tytusa”? Gdyby ktoś Pana zagadnął i poprosił: „Czy polecisz mi jakiegoś Tytusa? Czy warto przeczytać te komiksy?” Jak Pan sądzi, co byłoby z dzisiejszej perspektywy istotne? Co takiego jest w „Tytusie”, co zachwyty w nas wzbudza?

BCh: Oczywiście w najprostszym ujęciu powiedziałbym: jeśli chcesz zobaczyć popkulturę PRL-owskiej opresji, to musisz zobaczyć, co opowiadano dzieciom, jak opowiadano dzieciom i jak twórcy próbowali wykorzystać sytuację, że mogą przemówić przez jakieś medium do młodej publiczności. I Papcio Chmiel sam mówił: „bawiąc – uczyć, ucząc – bawić”. Ta maksyma to jest twórcze podjęcie ideologicznej myśli, że jak się tworzy to medium popowe, to żeby jednak jakąś mądrość przekazać tym młodym ludziom, żeby oni nie wyszli z tego z pustymi rękami, bo wtedy to będzie tylko taka czysta rozrywka. Zresztą, komiks amerykański przecież też pouczał na swój sposób i był moralizatorski.

MJ: Tak, rzeczywiście – wystarczy spojrzeć na DC Comics, czy Marvel po 11. września i reakcje na zamachy, czy wkrótce potem na komiksowe reprezentacje operacji w Iraku. To wszystko ma charakter komentarza społecznie i politycznie zaangażowanego, propagandowego.

BCh: Tak. U nas były te powinności edukacyjne związane z komiksem, więc może PRL różnił się w stylu raczej, niż w samej formule, ale ciekawie tę formułę

przetwarzał. I to powiedziałbym na pewno, ale to bym powiedział z urzędu. A osobiście, to dodałbym, że trzeba ten komiks poznać dzisiaj, żeby zobaczyć, w jaki sposób twórca na różne sposoby nawiązuje kontakt ze swoją publicznością. W jaki sposób buduje pewną wspólnotę, powtarzając dowcipy, wprowadzając elementy swojego świata. Wprowadzając też elementy do naszego języka i frazy, którymi my będziemy się mogli posługiwać. „Zamknij okno, dym ucieka”, jednostki takie, jak „dobra godzina”, która trwa 62 minuty, znak „bezmyślnik”, czy liczenie czasu „strzałami znikąd” – to są takie elementy autorskiego języka, a jednocześnie elementy tworzące kult, który jest rzeczą pożądaną w kulturze popularnej.

To jest naturalne, że trzeba nie tylko zadowolić odbiorcę, ale też trzeba dać temu odbiorcy narzędzia, żeby on zaczął się tym światem posługiwać, porozumiewać i elementy tego świata przenieść do codzienności. Bo bez tego nie ma kultury popularnej, nie ma zwrotnej. Muszą być narzędzia, które również może wykorzystywać odbiorca. I w tym sensie jest to bardzo nowoczesna formuła. Bo jak byśmy to przenieśli w dzisiejsze czasy, to zobaczylibyśmy, że wszystkie właściwie fenomeny kultury popularnej, czy Harry Potter, czy jakieś superbohaterskie historie dzisiejsze opierają się na tym, że jest jakaś twórczość fanowska, że fani żyją w tym świecie. A w rzeczywistości memów to już jest zwyczajnie banał i truizm. Bo właściwie kultura popularna się wylała na taką komunikację, właściwie nawet w sferze publicznej: jeśli wychodzi Leszek Balcerowicz na Campusie Polska i mówi: „Memy, posługujcie się memami!” – Leszek Balcerowicz! – to jest to ostatnia osoba, po której bym się spodziewał, że będzie pouczał młodych ludzi, że mają się posługiwać memami i walczyć politycznie memami. No więc jeśli mamy sytuację tak jasną, to wiemy, że wpływ języka kultury popularnej jest już wszędzie widoczny. I my to wszystko znajdziemy w „Tytusie” na swój sposób, po autorsku. Jest to czasami subtelnie, a czasem mniej subtelnie ujęte i w tym sensie ten komiks jest też zrozumiały dla młodych ludzi teraz, jest kopalnią. I opieram się tutaj również na moich doświadczeniach z własnym synem, który ma teraz lat 14, który przeszedł przez „Tytusa” parokrotnie przez całą serię i w świecie, w którym wiele bardzo aspektów kultury atrakcyjnych w latach 60. i 70., włącznie z niektórymi powieściami SF, staje się nieatrakcyjne, „Tytus” jakimś cudem nadal jest atrakcyjny, choć właściwie to „Tytus” powinien być ramotką, bo powinien zostać przykryty czterema warstwami porządnych amerykańskich albo frankofońskich komiksów dostępnych u nas.

Mf: Obiecałem sobie na zakończenie zapytać Pana o ulubione wątki związane z Tytusem. Zacznijmy od najważniejszego: jaka jest Pana ulubiona księga „Tytusa”?

BCh: Tu już się zdradziłem! To jest album „Tytus dziennikarzem”, czyli księga XVI. Ale też X: „Tytus na Dzikim Zachodzie”, jedna z moich ulubionych.

MJ: O tak – ta jest znakomita!

BCh: Pamiętam, jak te książki były wydawane i wznawiane – to echa pierwszego mojego kontaktu z „Tytusami”. Ważne było to, jak one były dostępne. Pamiętam, że zabytki (XI) jakoś nie były dostępne i niektórych z tych książek nie wznawiano. Mogło być też tak, że jedną książkę widziałem w „Świecie Młodych”, a inną na rynku, one wychodziły w trochę innym tempie niż same komiksy drukowane w gazecie. I w ogóle odbiór komiksu w prasie to jest coś, co się już nie powtórzy. I to jest coś, czego mogą zazdrościć dzisiejsze nastolatki nastolatkom sprzed lat, czyli w sekwencjach dwudniowych – bo „Świat Młodych” to przecież była wyjątkowa gazeta, ukazywała się trzy razy w tygodniu – oczekiwanie na kolejny odcinek i kompletowanie tego na własną rękę. To było rzeczywiście wyjątkowe doświadczenie.

MJ: Tak, rzeczywiście. Dla mnie jedno z takich bolesnych wspomnień z wprowadzenia stanu wojennego to było to, że „Świat Młodych” we wtorek po niedzieli 13. grudnia się nie ukazał i nie było dalszej części przygód „Jonka, Jonki i Kleksa”. To było duże emocjonalne przeżycie.

BCh: A kończąc tę hierarchię, to pewnie na 3 miejscu pewnie byłyby „Wyspy Nonsensu”, pierwsza wyprawa.

MJ: Ulubiony cytat?

BCh: Cytat... tak z pamięci... hm... „Ale guz! Gdzie jest nóż!”, poza tym kilka już wcześniej rzuciłem. Ale jeśli chodzi o cytaty, to jest po prostu kopalnia... Jeśli chodzi o cytaty i o moc cytowanej frazy, to „Tytus” może rywalizować z Sienkiewiczem czy z Gombrowiczem.

MJ: I ciekawe jest, jak myślę, to, że na przykład Christa w „Kajku i Kokoszu”, który był komiksem niezwykle popularnym, takiego języka nie stworzył, tak by jego teksty były cytowane w zwykłych rozmowach.

BCh: Nie do tego stopnia, choć są tam ślady takiego działania, jest tego po prostu dużo mniej, niż u Papcia Chmiela. Jest „Posadźcie mi na grobie orchidee”, „Na plasterki”...

MJ: „Niech co krwawy Hegemon!?”

BCh: Tak, właśnie! „Niech co krwawy Hegemon!?” Ale... oczywiście, jak mógłbym zapomnieć! Myślę o przepisie na idealną kawę! „Czarna, mocna, ostra i aromatyczna”!

***MJ:* Istotnie – to jest killer!**

BCh: To jest killer! I to jest znowu mój ulubiony odcinek „Tytusa”, czyli dziennikarski. Powiem więcej, tam się taki killer pojawia co 3-4 plansze. Jak te z wysysaniem newsów z palca, z robieniem fake’owych reportaży – z kwiatkami, z bocianem. I dla mnie osobiście, co nie jest w powszechnym użyciu – bo te wszystkie cytaty, o których rozmawialiśmy, są w powszechnym użyciu – a myślę, że „Tytus” nadaje się też do użycia indywidualnego, i dla mnie jedną z najwybitniejszych przenośni Papcia jest „stuknięcie” w redakcji.

***MJ:* Tak, to świetny pomysł, Tytus mówi do redaktora naczelnego (a to też przecież wielce symptomatyczna postać!): „Wszyscy zostali stuknięci i udali się na chorobę”.**

BCh: To jest takie prawdziwe. „Story of my life”! Bo przychodzi młody człowiek do redakcji i pierwszy raz siada przed kolumnami, żeby zrobić korektę, bo się rozchorował redaktor, który to robił normalnie. I nie ma kogo posadzić, a redakcja jest dziennikiem, więc nie szuka się daleko, tylko bierze się pierwszego lepszego gościa, który się nawinie. I to było też niezwykle prawdziwe. Sam się znalazłem w podobnej sytuacji, gdy pracowałem w dzienniku. Ale tak, jak mówiłem wcześniej, Papcio Chmiel przepracował tyle lat w redakcji, że wiedział, że cykliczność i niezwykła powtarzalność pracy redakcyjnej stwarza pewien rodzaj konieczności. I to, że gazeta nie może nie wyjść na czas. To stwarza pewne warunki ramowe, w których każdy nosi buławę w tornistrze, może przyjść do redakcji i z gońca zostać redaktorem naczelnym.

***MJ:* Czyli podobnie, jak w zastępie Tytusa, Romka i A’Tomka: jeden za wszystkich i wszyscy za jednego. Tutaj nie ma przypadku.**

BCh: Tak, tak, tak... Tak więc to stuknięcie, czyli scena z serią niefortunnych zdarzeń, w ramach których wszyscy kolejni pracownicy redakcji – bo to pewnie trzeba wyjaśnić – nadeptują na pozostawioną w korytarzu szczotkę i stukają się trzonkiem w głowę. To jest symboliczny ciąg wydarzeń, który prowadzi Tytusa do zawiadywania gazetą. I dla mnie jest to taką genialną przenośnią. I ja sformułowania „stuknięcie”, „wszyscy zostali stuknięci” używam na własny użytek.

***MJ:* A pamięta Pan swoje pierwsze spotkanie z „Tytusem”? Mówił Pan o dzieciństwie, ale czy to był „Świat Młodych”, czy też może osobne książeczki z przygodami?**

BCh: To był „Świat Młodych” i lądowanie uprowadzonego samolotu w Trapezyfik, jeśli dobrze pamiętam. To ten tom i ta plansza, ale tutaj mogę się mylić, bo to jest odcinek, który kupiłem ze „Światem Młodych”.

MJ: To oczywiście „Tytus dziennikarzem”, nr XVI.

BCh: Tak, tak, tak! Cały czas wracamy tu do tego samego! To moje fatum życiowe.

MJ: To tylko zazdrościć, że jako młody chłopak zainfekowany geniuszem Papcia Chmiela został Pan dziennikarzem...

BCh: Tak, to się po prostu musiało tak skończyć... Dlatego mówię, że to był komiks i księga, która zmieniła moje życie. Jakkolwiek się tak głupio na to patrzy... Wielkie książki literatury światowej powinny zmieniać nasze życie. Ale też w komizmie sytuacyjnym komiksu jest to wszystko zakłęte. To są na ogół drobne jakieś sprawy, drobne gesty. Szczególnie w „Tytusie” jakieś bardzo drobne wydarzenie powoduje całkowity zwrot akcji. To jest piękno tego świata i też jakaś pewna prawda życiowa, którą ten komiks pod spodem nam prezentuje. Ale nie chcę wpadać w jakiś monumentalny ton.

MJ: Bardzo dziękuję za rozmowę, Panie Redaktorze, za poświęcenie mi czasu i podzielenie się dużą ilością osobistych wspomnień, co buduje dodatkową narrację wokół kultowego, jak mówił Tytus – *nolens volens*, dzieła.

BCh: Dziękuję również – wszystkiego dobrego i „żeby nam się dzieci nie czepiały rakiet!”